rys. Kinga Czaplarska

Prospero odchodzi

Jacek Wakar

Pamiętam chwile, gdy jako stary Prospero z *Morza i zwierciadła* z łagodną rezygnacją, pogodzony ze sobą, żegna się ze światem. To było pierwsze odejście Prospera. Złamawszy czarodziejską różdżkę, spokojnie patrzył w nieskończone.

Miałem dziewiętnaście lat, wracałem autokarem, od ojca, który wykładał we Francji, w Nancy. Wjechaliśmy do Polski i usłyszałem w radio, że nie żyje Tadeusz Łomnicki. Byłem na pierwszym roku wiedzy o teatrze w warszawskiej PWST i wtedy skończył się znany mi do tej pory teatr. Tydzień później miałem być w Poznaniu na premierze *Króla Leara* z nim w roli tytułowej. „Nie zobaczę Łomnickiego w »Learze«. Ale widzę go na niewidziane. I słyszę jego głos, nawet wtedy, kiedy na chwilę ustaje jego serce" – napisał potem Jan Kott.

Piętnasty maja był dla mnie trudnym dniem. Najpierw wykład na Uniwersytecie Patrzenia Teatrem w krakowskim Domu Utopii, potem błyskawiczny kurs taksówką na Dworzec Główny, bieg do pociągu, a tam tłum, ludzie pokotem na podłodze. Po dwóch godzinach upalne jak na tę porę roku Opole, chwila odpoczynku w hotelu, za dwie godziny spektakl, długi i na pewno intensywny, koło dwudziestej trzeciej spotkanie z twórcami do poprowadzenia. Więc teraz oddech, moment spokoju. Idę na obiad do ulubionej hinduskiej knajpki. Tam oddam się niemyśleniu, zregeneruję, nabiorę chęci na teatr. Siadam, zamawiam to samo, co zawsze, lekki wiatr, o to chodziło. Z odrętwienia wyrywa mnie SMS: „Trela zmarł". Tyle. „Cooo?" – odpisuję. Zaglądam do Internetu – więc to prawda. „O Boże…" – piszę znowu. Zostaję w tym cholernym Opolu całkowicie bezradny, z myślą, że właśnie znowu tracę kawałek swojego świata i swojego teatru. Piszę do przyjaciela, jest w Brukseli. Już wie, dodaje, że to straszne. „Czuję się, jakbym Ojca stracił" – samo mi się to napisało. „No coś w tym jest" – odpowiada.

Przywołuję Łomnickiego, bo jego sześć ostatnich ról sprawiło ponad wszelką wątpliwość, że jestem tu, gdzie jestem. Nikt nie zajął jego miejsca, ale był Jerzy Trela. Po śmierci Łomnickiego właśnie on dostał propozycję przejęcia roli Leara, ale rzecz jasna nie mógł się na to zgodzić. Z Łomnickim tak prywatnie zamieniłem cztery zdania, miałem wówczas lat siedemnaście. Pana Jerzego znałem. Nie jakoś blisko, ale mam prawo myśleć, że darzył mnie sympatią. Spotkań było niemało, zaplanowanych i całkiem przypadkowych. Dziesiątki ról oglądanych na wielu scenach. W krakowskim Starym Teatrze i na Scenie STU, w Warszawie w Narodowym, w Polonii i w Och-Teatrze u Krystyny Jandy, w Ateneum, w Polskim, a nawet Na Woli. W niedzielę piętnastego maja przed godziną osiemnastą ta część mojego życia nieubłaganie dobiegła końca. Powlokłem się do teatru, nie myśląc o spektaklu Marcina Wierzchowskiego.

Przyszło mi do głowy jeszcze jedno: wtedy umarł Lear, dziś odszedł Prospero. Grał go przecież Jerzy Trela w *Morzu i zwierciadle* Audena w Teatrze Narodowym w fenomenalnym seansie Jerzego Grzegorzewskiego, miał zagrać w Szekspirowskiej *Burzy* projektowanej przez Bartosza Szydłowskiego. Nie zobaczymy więc Treli jako nowego Prospera, możemy tylko widzieć go na niewidziane.

***

Gdy w październiku ubiegłego roku z inicjatywy Małgorzaty Szydłowskiej inaugurowaliśmy Uniwersytet Patrzenia Teatrem, na pierwsze spotkanie z cyklu „Mistrzowie – inspiracje" postanowiliśmy zaprosić Jerzego Trelę. Wybór wydawał nam się symboliczny, a zarazem oczywisty – no bo kto, jak nie on? Zadzwoniłem, odebrał od razu, mruknąwszy swym przepastnym głosem słowa powitania. Wykładam sprawę, trochę się jąkając, bo chyba zawsze wywoływał we mnie tremę. Trela wzdraga się – bo o czym miałby niby opowiadać? To była stara śpiewka tego wielkiego aktora. Kiedyś zareagował w ten sam sposób, gdy zapraszałem go na godzinną radiową rozmowę. Znowu tłumaczę więc, że nieważne, co powie; sam fakt, że się pojawi, będzie miał ogromne znaczenie. Godzi się, ale z ociąganiem. Że musi gdzieś być o określonej porze (ja na to, że będzie), że nie wie, jak dojedzie (ja na to, że nasza w tym głowa), i że w ogóle może to bez sensu. Na koniec zgodził się, niby półgębkiem, i zaczęliśmy ustalać szczegóły. A mnie wydało się, że może jest mu przyjemnie, że tak nam na nim zależy, że to wszystko usłyszał. Bo jakbym widział jego niewyraźny, źdźiebko zawadiacki uśmiech…

W październikową sobotę po południu przyjechał oczywiście na czas. Wszedł na korytarz, nie widziałem go długo, wydał mi się drobniejszy, mniejszy niż ostatnio. Wraz z Małgorzatą rzuciliśmy się mu na spotkanie, przywitał się, ale daleko mu było do wylewności. Zanim podniósł do ust filiżankę z kawą, zdezynfekował specjalnym płynem i filiżankę, i łyżeczkę. Znałem to zachowanie, widziałem się z Trelą w głębokim lockdownie, gdy specjalnie dla pana Jerzego otwarto jego ulubioną Lożę na Rynku, więc mogliśmy na dwie godziny zadekować się w podziemiu. A teraz wydał mi się jakiś nastroszony, jakby nie bardzo miał ochotę na wyprawę do Huty i całe to spotkanie. Zaczęliśmy jednak rozmowę, zobaczył ludzi, którzy przyszli dla niego, przymknął oczy i dał się ponieść opowieści. Powiedzieć, że w prawdzie jego wyznań mieścił się najwspanialszy teatr, to nic nie powiedzieć. Był głos – głęboki, niski, idealny, by się w nim utopić. Ale przede wszystkim spojrzenie – nagle jaśniejsze, muśnięte radością. Twarz ostra, poorana bruzdami – nagle spokojna i łagodna. Było już całkiem pewne – wielki aktor rozkwitał wśród swej publiczności, na nowo ładował swe akumulatory, chłonął skupienie i atencję, jaką go obdarzano. Minęło półtorej godziny, trzeba było kończyć, gdyż Jerzy Trela musiał się zająć kolejnymi obowiązkami, a mimo to sprawiał wrażenie, jakby chciał zostać. Nie znałem go przecież dobrze, a mimo to miałem pewność, że właśnie teraz jest naprawdę szczęśliwy.

Przypominałem sobie wtedy, robię to również teraz, jak wiele mu zawdzięczam. Role – to oczywiste – dał mi szkołę teatru. Ale nauczył także znaczenia ciszy. Wspomnianą już rozmowę w radio przeprowadziłem jako kompletny żółtodziób w tej dziedzinie. On był w krakowskim studio, ja w Warszawie, zatem jedynie się słyszeliśmy. Zadałem pierwsze pytanie – cisza. Niemiłosiernie długa, pomyślałem, że zerwało się połączenie. Gdy już chciałem interweniować, usłyszałem głos Treli. Cichy, spokojny, pełen namysłu. A więc nic się nie stało, wszystko działa, to tylko aktor szuka właściwych słów. Cisza w słuchawce trwała pewnie ze dwadzieścia sekund – dla mnie wieczność. Znaczyła jednak więcej niż pospiesznie wyrzucane zdania.

Ostatni raz zadzwoniłem czternastego marca, z życzeniami na osiemdziesiąte urodziny. Nie odebrał, za drugim razem nagrałem się na sekretarkę. Oddzwonił następnego dnia. Dziękował, jak zawsze szczery i po swojemu stremowany. Pytany o samopoczucie, stwierdził, że już jest dobrze, złe minęło. Pożegnaliśmy się do następnego spotkania. Wiedziałem, że chorował, ale nawet przez myśl mi nie przeszło, że to będzie nasza ostatnia rozmowa…

****

Nie załapałem się na *Dziady* ani *Wyzwolenie*. Legendarne inscenizacje Konrada Swinarskiego znam z telewizyjnych rejestracji, oglądałem je jako nastolatek. To była tylko namiastka tego przeżycia, jakie mieli ci, którzy widzieli na żywo dwóch Konradów Jerzego Treli. Czytałem potem o Swinarskim, chłonąłem rozmowy o *Hamlecie* Żuka Opalskiego, a jednak to był dla mnie tylko odległy mit.

Dla mnie Jerzy Trela był aktorem Jerzego Jarockiego i Jerzego Grzegorzewskiego – chyba w tej właśnie kolejności. I jeszcze Andrzeja Wajdy, także Rudolfa Zioły oraz Krystiana Lupy i Mikołaja Grabowskiego, choć to już nie miało takiego znaczenia. Było jeszcze wiele mniejszych ról, których nie bardzo już pamiętam. Trela swój zawód traktował jako służbę. Był w zespole Starego Teatru, więc nie odmawiał. Przez jego utożsamienie ze Starym Teatrem właśnie uważałem, że artysta stanowi ucieleśnienie krakowskiego zespołu. Dzięki *Wielkiemu kazaniu księdza Bernarda* Leszka Kołakowskiego, wyreżyserowanemu przez przyjaciela aktora, Krzysztofa Jasińskiego, na Scenie STU, z którą w ostatnich dekadach najmocniej był związany, zrozumiałem, że Jerzy Trela zwyczajnie jest teatrem. Nie potrzebuje niczego poza słowami, by uśpić czujność, uwieść, ukoić, a potem nagłym ruchem złapać za gardło, zapanować nad światem. Nawet nie musi podnosić się z fotela.

Pierwszy był dla mnie teatr Jerzego Jarockiego. Jak przez mgłę pamiętam zachwyt *Życiem snem* Calderóna, gdzie Trela jako autoironiczny, zdystansowany Clarin był na drugim planie, oddawał pole młodszemu koledze, Krzysztofowi Globiszowi, w roli Segismunda. Na kanoniczną wersję *Ślubu* Gombrowicza pojechałem niedługo po premierze, ale przedstawienie już było legendą. I może pierwszy raz w teatrze dotknąłem doskonałości. Pamiętam chrobot rozsuwającej się kurtynki w Starym Teatrze, scenę pogrążoną w mroku, a potem głos Jerzego Radziwiłowicza „Zasłona wzniosła się...". I duet Treli z Danutą Maksymowicz w rolach rodziców – on dziwnie skurczony, przygięty, nabierał wciąż plebejskiej siły w chwili intronizacji. A potem, po „dutknięciu", na powrót malał w strachu i upodleniu. Później widziałem ten *Ślub* jeszcze trzy razy, w Krakowie i w Warszawie – ciągle z poczuciem obcowania ze skończonym arcydziełem.

Słusznie się mówi, że Jarocki, ze swoją żelazną konsekwencją i intelektualną dyscypliną, często odznaczał się prawdziwym okrucieństwem wobec aktorów. Znam to z ich świadectw, ale z ust Treli nigdy nie usłyszałem złego słowa o wielkim reżyserze. Zagrał u niego po raz pierwszy krótko po angażu do Starego Teatru, w *Szewcach* Witkacego. Potem wspólnych realizacji było jeszcze dziewięć, a wśród nich choćby dziwnie złamany dobrem Mefisto z *Fausta* Goethego. Tytułową rolę grał w tym spektaklu Radziwiłowicz, najczęstszy partner Treli na scenie, aktor tego samego kalibru. Nie mogę sobie darować, że ominął mnie chyba największy ich duet – w inscenizowanym przez Jarockiego *Portrecie* Mrożka. Zdjęcia dają wyobrażenie, jaki to był teatr...

Jerzy Jarocki obudził w Treli zmysł autoironii, pokazał skalę aktorstwa charakterystycznego, nigdy nie kończącego się na portretowaniu ludzkich typów, ale odkrywającego istotę postaci. Trwał złoty czas Starego Teatru – lata sześćdziesiąte, siedemdziesiąte, jeszcze osiemdziesiąte, gdy artysta już pracował przy placu Szczepańskim. Niemalże równolegle swoje wizje urzeczywistniali tu Swinarski i Jarocki, Grzegorzewski i Wajda, potem zaczął Lupa. Trela pracował z każdym z nich, każdemu oddał kawałek swej niepowtarzalności. Grał nawet, choć jedynie dwukrotnie, u Krystiana Lupy, choć jego świat wydawał się tak odmienny od wrażliwości Treli.

A Jerzy Grzegorzewski? Był przeciwieństwem Jarockiego... Reżyserował w błyskach, intuicjach, zawieszeniach, licząc, że to aktorzy nasycą sobą formy spektakli. Otwierał przy tym w nich zupełnie nowe sfery, każąc dotykać krystalicznej poezji albo czystego bólu. W czasie burzy w Starym Trela poszedł za nim do Narodowego, by zanurzyć się w Wyspiańskim (dwukrotnie) i Audenie. U Wajdy w Starym grał w *Weselu* Poetę, a ja ciągle pamiętam jego dialog z Dorotą Segdą (Panna Młoda), ten o sercu i Polsce... W *Weselu* Grzegorzewskiego jako Czepiec miał w sobie gorycz i wściekłość. Prawdziwie wielki był jednak jego Samuel z *Sędziów*, przegrany patriarcha rodu, złamany ojciec, brat Hioba. Minęły pewnie dwie dekady, a ja wciąż mam w oczach scenę finałowej skargi Samuela, kiedy bezsilny pada na ziemię, a jego zduszony głos wypełnia całą przestrzeń Sceny przy Wierzbowej. Albo chwile, gdy jako stary Prospero z *Morza i zwierciadła* z łagodną rezygnacją, pogodzony ze sobą, żegna się ze światem. To było pierwsze odejście Prospera. Złamawszy czarodziejską różdżkę, spokojnie patrzył w nieskończone.

Wiedział Grzegorzewski, że Jerzy Trela sam jest teatrem, a więc nie potrzebuje rozbuchanej inscenizacji w tle. W *Dziadach – dwunastu improwizacjach*, zrealizowanych w Starym Teatrze w roku 1995, początkowo proponował aktorowi rolę Guślarza. Po kilku próbach artysta zrezygnował. Miał wywoływać duchy, tymczasem one przyszły do niego – zjawy z inscenizacji Swinarskiego, ludzie, z którymi grał, a już ich nie było. To było za bardzo bolesne. Ostatecznie powiedział więc monolog Adolfa, ściszonym głosem, niemal prywatnie. Grzegorzewski wygasił na tych kilkanaście minut cały swój teatr, na proscenium umieścił zwykłe krzesło. To były wstrząsające chwile, stojące w sprzeczności z utartym frazesem o tym, że Grzegorzewski traktuje swoich aktorów jak bezduszne elementy inscenizacji... Do tego dochodzi jeszcze smaczna anegdota o tym, że podczas któregoś spektaklu jakiś chłopak w pierwszym rzędzie głośno gadał z dziewczyną, popijając colę. Pustą puszkę postawił na scenie. Trela wspomina, że podszedł do tej puszki i ją kopnął, poszybowała ponad głowami widzów. Wrócił na miejsce i dokończył monolog. Po zakończeniu spektaklu chłopak przyszedł z przeprosinami.

Podczas mszy za duszę aktora w krakowskim kościele dominikanów w pewnym momencie poszarzało i z głośników odezwał się jego głos. „Chcę, żeby w letni dzień, w upalny letni dzień, przede mną zżęto żytni łan…” – usłyszeliśmy, wielu nie mogło już powstrzymać łez. Tylko Jerzy Trela i Gustaw Holoubek tak zrośli się ze słowem. Trela zaczynał *Dziady – dwanaście improwizacji*, kładąc dłoń na ramieniu Radziwiłowicza i odpowiadając na „Gdzież jestem” Konrada krótkim „W przyjaciela domu”. We wspaniałym *Wyzwoleniu*, przygotowanym przed kilkoma laty przez Annę Augustynowicz w warszawskim Teatrze Polskim, jako Duch samą swą obecnością i monologiem, kilkoma frazami, tworzył kodę swego życia z Wyspiańskim i z Mickiewiczem. Niczego jednak nie zamykał, nie kończył, ciągle chciał wrócić do wieczoru z wielkimi monologami, które czasem nie tyle grywał, ile po prostu wstrząsająco wypowiadał. Chciał ten seans wzbogacać, zmieniać, jeszcze kilka miesięcy temu prosił o sugestie.

***

Nie da się zamknąć Treli w słowach, one go nie opiszą w pełni. Nie da się wydestylować esencji z setek ról. Mogę jedynie badać ślad, jaki we mnie zostawił. Ostatnio wrócił na chwilę do Starego Teatru spektaklem *Trąbka do słuchania* według Leonory Carrington, w reżyserii Agnieszki Glińskiej. Zagrał w nim w parze z Anną Dymną, i już ten fakt sprawiał, że należało to przedstawienie zobaczyć. Nie zdążyłem.

Ze Starego Teatru odchodził tak naprawdę kilka razy. Za czasu dyrekcji Jana Klaty na dobre, w proteście przeciwko performansom podkpiwającym ze Swinarskiego, choć oficjalnie rewidującym jego twórczość. To był początek dyrekcji Klaty, przypuszczam, że nie dopuściłby do podobnej sytuacji dwa sezony później. Trela wspominał, że zabierając swoje rzeczy, minął się z nim na korytarzu, przywitał, usłyszał odpowiedź. I poszli, każdy w swoją stronę.

W październiku zagadnąłem go, że mija właśnie pięćdziesiąt lat od chwili jego debiutu na deskach Starego. Nie pamiętał o tym, ale zasmucił się. „Nawet kwiatów nie przysłali” – powiedział cicho.

Najbardziej przejmujące pożegnanie ze Starym Teatrem zawdzięcza jednak Piotrowi Cieplakowi, który w 2008 roku zrealizował tam sztukę Eugène'a Ionesco *Król umiera, czyli ceremonie*. Trela był tytułowym królem Berengerem, który miał umrzeć po półtorej godziny, w finale przedstawienia. Otaczały go dwie królowe – Anna Polony i Anna Dymna – i jeszcze Dorota Segda, Jacek Romanowski, Zbigniew Kosowski. W którymś momencie Trela z Polony szli przez przebudowaną niedługo wcześniej widownię, jakby po omacku, jak ślepcy zagubieni w nowym świecie, który już nie jest ich, już go nie poznają. Powracały fragmenty z inscenizacji Swinarskiego, dawne gesty i słowa, ktoś odsłaniał słynne okno na plac Szczepański. Był w tym smutek pożegnania, ale i radość, bo teatr unieważniał czas.

Zostanie we mnie rola Treli w *Śniegu* Szydłowskiego. Wielki aktor z ekranu wygłaszał memento skierowane do świata owładniętego przez ideologię. Jego głos i twarz mówiły wszystko, były wszystkim. Miał zagrać Prospera w *Burzy* Szydłowskiego – splot zdarzeń sprawił, że realizację odłożono. Ten Prospero był pomyślany jako postać drugiego planu, demiurg skrachowany i bezsilny. Podobno aktor i reżyser coraz bardziej zbliżali się do koncepcji, według której Prospero Treli miał stać się samym głosem. Kolejne odejście Prospera – Jerzego Treli okazało się jednak tym ostatecznym. I choć bardzo by się chciało, nic nie da się z tym zrobić. Zostaje widzieć na niewidziane.

7-8/2022
Ludzie

JACEK WAKAR

krytyk teatralny, absolwent Wiedzy o Teatrze PWST w Warszawie.

Teksty z kategorii